Lwów 1. Listopada №130. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięcznie 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Złr. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt wprzedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

JAK TO BYWAŁO.

przez

Oswalda Pietruskiego.

(Dokończenie).

XII.

Chrzciny.

A że czy w smutku czy radości, czas jednakowo przechodzi, przeminał i rok żałoby. Na drugą wiosnę szczęśliwi kochankowie przysięgli sobie wieczną miłość przy ołtarzu. Czy dotrzymają przysięgi, to już do powieściarza nie należy, to już jak w pieśni urwanej, niech sobie sam czytelnik dośpiewa. Ani też opisywać będziemy pierwszych miodowych miesięcy i domowego kochanków szczęścia. Bo — dziwna to rzecz jak w życiu, tak w powieści, szczęście jakby przelotny promień światła padnie, zaświeci, rozleje swą jasność krótką, jednostajną, i choć najczęściej prędko zniknie, nie da się złowić w granice długiego rozbioru i opisu. Było jasno! i cóż więcej powiedzieć?.. Opis szczęścia, jak opis jasnego światła byłby jednostajny, gdy tymczasem opis cierniów, opis smutku żywota tyle ma rozmaitości, tyle ma barw i odcieni w sobie, że nigdy nie znudzi, i jak przez długie nieraz trwa lata, tak na długie da się rozciągnąć tomy.

Lecz jeszcze kilka rysów brakuje nam do uzupełnienia naszych obrazków, które z pamiątek zbierane, kończyć się muszą jak pamiątki, przytoczeniem losu wszystkich z tradycji zapamiętanych osób. —

I jeszcze rok jeden przeminął. W Powiatówce wielki ruch panuje. Od kilku tygodni bawią u panny Weroniki młodzi państwo Drzwiowscy, którzy po ślubie aby bliżej być ciotki, mieszkają w Radomiu, gdzie pan Jan kupił ładny dom i znaczny grunt. Zjazd jest niepospolity w Powiatówce, bo prócz Drzwiowskich młodych, przyjechał i stary pan Loran Drzwiowski i pan rotmistrz Wolski, i pan Maxym Wolski, który zmężniał przez ten czas, i na wcale porządnego wyszedł człowieka. Zjazd ten był z powodu odbyć sie mających chrzcin uroczystych jakie się mają odprawić w Powiatówce. Państwo Janostwo mają syna, który naturalnie ma się nazywać Mikolaj Wawrzyniec dla ojców, Jan Stanisław dla trzech królów polskich których jak wiemy pokrewieństwem szczyci się panna Weronika herbu Grzymała z mitrą na hełmie. Jest w Powiatówce i Pani Lubowiecka, jest jeszcze parę sąsiadek równie zacnie urodzonych, bo panna Weronika postanowiła odbywać chrzciny z niepospolitą uroczystością.

Anusia zawsze piękna, choć blada nieco, z podwójnym urokiem na twarzy, małżonki kochającej i matki kochać dziecię swoję poczynającej, leżała jeszcze w łóżku, patrząc wzrokiem uwielbienia na rześkiego malca, którego nie wie jeszcze czy ma nazywać Jasiem, czy Stasiem, i którego ustrojonego już znana nam Anastazja, dzisiaj pani Sewerynowa, żona dawnego sługi pana Jana, wynosi w tej chwili do sali, gdzie już przy dwóch świecach jarzących oczekują ksiądz Polikarp, pan Loran z panną Weroniką w pierwszej parze, a pan Mikoiaj z panią Lubowiecką w drugiej parze, i wiele jeszcze innych par.

Skończyły się chrzciny zwykłym trybem. Podano starego węgrzyna, ogromnym kielichem wypito zdrowie nowego chrześcianina Wawrzyńca Mikołaja Jana Stanisława Drzwiowskiego, i w pompie zaniesiono rozbeczonego tą ceremonja chłopca do kołyski.

Wszyscy przystąpili do młodej matki z długiemi i jak dawny był świat polski, znanemi polskiemi przymówkami, winszowaniami i życzeniami.

W tej chwili dziad i ojciec nowo ochrzczonego przysunęli się do kołyski, odkrząknęli i uroczystą przybrali postawę. I obydwa sięgnęli do zanadrza, stając po obu bokach kołyski, i obydwa dobyli jakiś papier z wielkiemi pieczątkami. Wszyscy obecni patrzali z zadziwieniem, co to będzie z tego?

— Wnuku mój! zaczął dziadunio.

— Synu mój! zaczął ojciec.

Spojrzeli na siebie obaj Drzwiowscy zdziwieni...

— A to co za papier? zapytali się nawzajem.

— To nasz herb szlachecki! wyrzekł pan Loran głośno i dumnie.

— I to herb!.. powtórzył młody ojciec. Herb Drzwiowskich rodziny.

— To Pomian!.. mówił dziad.

— To Wieniawa! mówił ojciec.

A mały krzyczał i trzepotał; widok dwóch ogromnych pieczęci, które nagle nad nim zawieszono, przestraszyły go niepospolicie.

— Cóż to znaczy? zapytali się ojciec i dziad...

— Co to? powtarzali obecni.

— Pomian naszym herbem!..

— Wieniawa jest naszą?..

— Mam go ze starania księcia Karola..

— Król jegomość nadał mi go...

— Jakże teraz będzie? pytali wszyscy słowem i spojrzeniem.

Aż nareszcie wszyscy głośnym parsknęli śmiechem, i po natchnienie do nowych poszli kielichów.

— A cóż to szkodzi? zawołał wreszcie pan rotmistrz, trzymając się za brzuch ze śmiechu. Tak tu jest żubrza głowa, jak i tu!.. Niech sobie kiedyś z obydwóch jeden herb ułożą. Ujdzie to u nas. Wszakże i ja przysięgnę że do szlacheckiego należę rodu, bo jużciż Wolski się nazywam, a nigdy nie wiedziałem do jakiego należę herbu.

Tę sprawę jakoś zapito, aż znowu przy zapisie do metryki ksiądz Polikarp, który był zawsze światły człowiek, a tym razem podochocił sobie kapitalnie z nową wystąpił trudnością.

— Idzie teraz o przydomek moi panowie, bo jużciż kiedy jest herb to i przydomek być musi. Ale jaki? czy pisać z górnego, czy z dólnego Drzwiowa.

— Pst!.. zawołał pan Loran.

— Pst!.. zawołał pan Jan.

— To nie dosyć moi panowie!.. ciągnął dalej nieubłagany ksiądz, mimo znaków jakie mu dawali dziad i ojciec. Ale jeszcze z jednej strony trzeba się zabezpieczyć, bo to trzeba znać naszych polaków. Poźniej gdy będą szukać po krajowych mapach dólnego i górnego Drzwiowa, przyjdzie im przy kwerendzie na myśl, czy to może nie mowa o wielkim lub małym Drzwiowie... a zatem trzeba zapisać dla uniknienia wszelkich nieporozumień, albo z wielkiego czyli górnego, albo też z małego czyli dolnego Drzwiowa.

— No już dobrze!.. brawo księże dobrodzieju!.. dobry koncept!.. zawołali obecni.

I znowu zapito tę sprawę, która po każdym kielichu stawała się coraz ważniejszą i jaśniejszą. Aż nareszcie usnął chrzestniak, usnęli i chrzestni ojcowie.

Tak się ukończyły chrzciny pana Wawrzyńca Mikołaja Jana Stanisława Drzwiowskiego, którego dalsze losy jakkolwiek mogą być i były nawet rzeczywiście wielce ciekawe, już do nas nie należą.

A więc przejdźmy do innych osób jakie występywały w tym zbiorze pamiątek.

Panna Weronika doczekiwała się jeszcze wnuczki, i na zaziębiony katar umarła.

Panna Złotkowska żyła dłużej daleko, bo jeszcze na weselu panny Weroniki Anny Drzwiowskiej widziano trzęsącą się staruszkę, jak ze łzami w oczach błogosławiła pannie młodej.

Pan Maxym w końcu wieka mienionego pociągnął za głosem, który na włoskiej ziemi w rodzime barwy strojne ochotników ściągał roje. I długie lata wojował pod różnemi strefami, aż wrócił dojrzałym mężem ranami i krzyżem obdarzony.

A w Buczaczu? Buczacz jak to już napomknęliśmy, wkrótce zupełnie stał się pustym. Starosta Kaniowski pozostał w zamku Buczackim póki nie rozwiązała się sprawa o Niegibowicza; za nadto dumny aby unikał możliwych jej skutków. I sprawa ukończyła się bardzo dobrze i sprawiedliwie. Pokazało się jasno jak słońce, że nieboszczyk Niegibowicz przez pobożność sam się okropnie biczował, i w skutek tego podobno umarł. O dowody trudno było, bo trupa nigdy nie znaleziono. A nareszcie całą tę sprawę odresygnowano rządowi polskiemu, bo pan Mikołaj Potocki, mając dobra za kordonem, był zarówno polskim jak i galicyjskim obywatelem. Gdy się sprawa zakończyła obmierzł mu Buczacz. Wyjechał za kordon, i tam jak to zresztą wiadomo, umarł życiu pobożnemu oddany.

Krzymuski został w Galicyi! Odebrał darowany sobie kapitał u pana starosty Koziebrodzkiego którego pan Kaniowski niechciał już nazad odbierać, kupił majątek, stał się sławnym w Galicyi zdziercą chłopów, i umarł panem bogatym w chwili gdy miał nadzieję zostać grafem.

Maciej Kręcigęba obdarzony przez starostę Kaniowskiego, ożenił się z Basią i oboje żałując za grzechy, mianowicie za obdarcie Sobieskiego trumny, osiedli na dewocyi we Lwowie przy bosackiej bramie, i żyli cicho i przykładnie. Sąsiedzi wprawdzie mówili, ale my za to nie ręczymy, że pożyczali pieniądze na lichwę i na fanty. To pewna że zostawili piękną gotówkę, sreberka i brylanciki, które w braku prawomocnych spadkobierców zabrał fiskus.

Swalant złapawszy pieniądze od Herneka, rozpił się do reszty, i w Kulikowie umarł pod ławką, u Arona Gelbsznabla, przedającego miód doskonały.

A Hernek!... Hernek znikł bez wieści. Coś tam ludzie mówili, że jeszcze za bytności pana Potockiego w Buczaczu, diabeł go skorcił pojawić się potajemnie w miasteczku, i że gdy go ktoś dostrzegł ze dworu, przyszli kozacy dworscy i niebardzo grzecznie się z nim obeszli. Czy to prawdą było, czy zmysleniem, i gdzie się potem podział, zostało na zawsze tajemnicą. Hernek pozostał mytem w kraju, mytem nieśmiertelnym, palcami nieschwytanym, ale pojawiającym się po wszystkich dworach pańskich, po wszystkich większych i mniejszych miasteczkach, mytem nowego u nas życia.

Do M...i Petruszewicz.

Odpowiedź.

Dziecię chwalbą się rozpieszcza;
Ty mnie królem ptaków zwiesz,
Dajesz do rąk palmę wieszcza,
Grób wawrzynem wieńczyć chcesz!

To za wiele! Za łez kilka,
Za cierń losu, za cierpienia
Dość mi jedna szczęścia chwilka,
A za życie dość — wspomnienia!

Jam chciał zerwać kwiat nadbrzeżny,
Ty mnie orłem płoszysz z brzegu,
Ale orzeł ptak — drapieżny,
A kraj jego — to kraj śniegu!

Tamto służąc myśli wiernie,
Po cierniowe mam iść sploty?....
Wszak to ludzie wiją ciernie,
A bez ludzi niema cnoty!

Nikt się plonu nie spodziewa,
Co się w sercu nie zamieszcza,
Wszak o ludziach wieszcz nam spiewa,
A bez ludzi niema wieszcza!

Chcesz by z wonnych łąk kobierca,
W kraje duchów szedł poeta,
Śnił sam jeden, śnił bez serca....
I tyś wieszczka?... tyś kobieta?

Żółty kwiatek cię rozgniewał,
Żem go wybrał z barw tysiąca,
Żem świat cały nim zasiewał,
Zamiast niebios, gwiazd i słońca?

Żółty kolor po wsze czasy
Był kolorem wschodnich tronów,
Żółte futra i atłasy
Przyzdabiały Faraonów!

Mojżesz na Synaju górze
Kiedy lud swój z prawem brata,
Choć się cały schował w chmurze,
Widna jego żółta szata!

Żółte nieba w Watykanie
Malowali mistrze wzoru,
Siódme niebo w Alkoranie,
Ma żółtego być koloru!

O tem niebie mnie się śniło,
Jak śnił o niem Anioł-Michał,
Czemuż ciebie to zdziwiło,
Żem za takiem niebem wzdychał?

Lecz się nie bój, już nie będę
Żółtych kwiatów siał na niebie,
I na tronie nie usiędę,
Tylko o to proszę ciebie:

Pleniąc jaskier z łąk kobierca,
Zostaw jeden na uboczu,
Bo on kwiatem mego serca,
On kochankiem moich oczu!

Dobre uzna rozum zdrowy,
A to piękne, co zachwyca,
Gdyby nawet kwiat — pieprzowy,
Gdyby nawet — i gorczyca!

Wieniec cierni z twojej ręki
To męczeńskich dni zadatek,
Lecz gdy zechcesz ulżyć męki,
Wpleć do cierni — żółty kwiatek!

A w nagrodę chęci, czynów,
O to proszę na ostatek:
Byś na grobie, do wawrzynów
Wplotła jeden — żółty kwiatek!

J. C. Z.

POPAS W CHĘCINACH.

wyjątek z pamiętników niedrukowanych.

(Ciąg dalszy).

Tuż przy drzwiach stały szafy dwie oszklone z ową biblioteką gospodarza, którą o ile uważać mogłem, z pewnym rodzajem dumy i zadowolnienia przedewszystkiem chciał mi pokazać.

Ściany ozdobione były wizerunkami księcia Poniatowskiego, Kościuszki, Ignacego i Stanisława Potockich, Niemcewicza, Ostrowskiego, Puławskiego i innych znakomitych polaków.

Zrobiliśmy najprzód krótki przegląd bibljoteki.

W ogóle obejmować mogła kilkaset tomów, pomiędzy niemi autorów polskich najwięcej. Było także kilka dzieł francuskich; Niemcewicza kompletne dzieła zajmowały środkową półkę, i ozdobniej jak wszystkie inne były oprawione.

Między wielu innemi dziełami, odnoszącemi się do czasu sejmu konstytucyjnego, główne także miejsce zajmował wybór pisarzów polskich, wydania Mostowskiego.

*

Księgi starego zakonu, z których jedna w trzech językach, w hebrajskim greckim i łacińskim, bardzo pięknego wydania miały tam także swoje pomieszczenie.

Z rozmowy gospodarza poznałem że biblioteczkę tę swojem własnem staraniem i kosztem zebrał, i że nic w niej obcem dla niego nie było.

— Panie Silberberg, rzekłem, jesteś jak widzę wyjątkiem pomiędzy twojemi współwyznawcami.

— Nie, panie! mnie tylko wyjątkowo od najmłodszych lat los w takie koleje życia przerzucił, że do tych jakie mam przyszedlem wyobrażeń; a i te nawet wyjątkowe koleje losu pewnie by mnie same przez się nieocaliły od zguby gdyby mi w chwili największego nieszczęścia i sieroctwa nie zesłał był Bóg takiego opiekuna i dobroczyńcę jakim był pan Niemcewicz dla mnie, i to ja panu opowiem.

W tej chwili przyniesiono herbatę, zasiedliśmy obydwa do niej, a szanowny gospodarz w ten sposób zaczął historją swojego życia:

— Dzisiaj liczę rok 74. żywota. Urodziłem się jak panu mówiłem na Pradze, jedno prawie i to samo miasto z Warszawą stanowiącej, tak podobnie jak Podgórze z Krakowem. Wisła je tylko przedziela.

Ojciec mój posiadał mierny dobytek, miał swój własny domek drewniany na Pradze. Było nas rodzeństwa dwoje, ja byłem starszym synem.

Przed tą pamiętną nocą z dnia 8. na 9. Listopada 794. roku, w czasie której ową pamiętną wszystkim okropną rzeź dopełniono, mój ojciec wysłał mnie w interesie pieniężnym z listem do znajomego żydka arendarza, na karczmie o dwie mile od Pragi siedzącego.

Wyszedłem dosyć późno popołudniu, tego samego więc dnia do domu wrócić nie mogłem.

Tymczasem, tej samej nocy wszyscy mieszkańcy Pragi, a z niemi mój ojciec, matka i brat młodszy zostali wymordowani przez wojska, a z domku naszego tak jak z całej Pragi, kupa tylko gruzów i zwalonych kominów przed wszystko niszczącym ogniem się ostała.

Już w nocy, z miejsca gdzie mnie ojciec wysłał, widzieliśmy straszliwą i szeroką łunę.

Że się Praga pali, o tem sądząc z położenia miejsca wątpić nie można było.

Niespokojny o rodziców i ich dobytek, jeszcze przededniem wyszedłem z powrotem.

Smutne i okropne przeczucia dręczyły mnie przez drogę. Nie szedłem, ale prawie biegłem. O pół mili od Pragi spotkałem dwóch żydków, w największej trwodze i przerażeniu uciekających z miejsca mordu i pożogi.

Od nich to o smutnej dla mnie dowiedziałem się prawdzie, że z tej części miasta w której moi rodzice mieszkali, żywa dusza nie została, a domy wszystkie ogień pochłonął.

Niepotrzebuję panu powiadać, co się ze mną w tej chwili działo?

Praga jeszcze się paliła!

Żal i bojaźń do tego stanu mnie przywiodły, że bez namysłu po co? i do kąd? uciekałem z owemi żydkami.

Dobiegliśmy do bliskiego przy drodze lasu. Tam zdawało nam się że bezpieczniej odpocząć możemy. Ale po krótkiej chwili nowa ogarnęła nas trwoga, gdyśmy stąpanie ludzkie coraz bliżej siebie usłyszeli. Uciekać już nie było czasu, a co więcej, strach odebrał nam do tego odwagę. W kilka też minut spostrzegliśmy tuż obok nas przechodzących, ale nie Rossjan lecz Żydow i Żydówki, którzy z równym jak my strachem a większem od innych mieszkańców Pragi szczęściem, ucieczką ratować się zdołali.

Jeden z pomiędzy nich był sąsiadem rodziców i mnie znajomym. On mnie znowu o śmierci mojego ojca, matki i brata i o zupełnem spaleniu naszego domku zapewnił.

W pierwszej chwili żalu i rozpaczy, miałem przekonanie, że mordy te i pożogi nieogranicżą się na samej Pradze, zdawało mi się że cały kraj temu smutnemu losowi ulegnie, że i w tem ukryciu nas dosięgnąć musi.

Myśl więc uciekania gdzieś, gdzieś daleko, w jednej chwili we mnie powstała. W jednej też i tej samej chwili, niezwierzając się współtowarzyszom niedoli, puściłem się sam jeden w drogę gęstwiną, przez las, na oślep, omijając starannie każdą prawie drożynę i ścieszkę.

Po dziewięciugodzinnej prawie wędrówce przez lasy, gęstwiny krzaków, błota i pola, spostrzegłem nareszcie małą osadę, a na wstępie do niej karczemkę.

Znużony drogą, zmęczony troską, spodziewając się jak zwykle żydów znaleść w tej karczmie, wstąpiłem do do niej śmiało. Pokazało się że byłem tylko mil pięć od Pragi, tuż nad samą Wisłą.

Opowiedzenie przygód i niedoli mojej wzbudziło w współwyznawcach moich współczucie. Była godzina może 6 z południa. Posilono mnie czem było można, i do spoczynku namówiono.

Znużenie sił przemogło cierpienie duszy, sen twardy i długo trwały owładnął ciało i na chwilę boleści serca uciszył. Ale przebudzenie było okropne! bo chociaż czułem się wprawdzie silniejszym i zdolniejszym, znowu do dalszego pochodu, jednak nic nie ukciło smutku i boleści.

Cała okropność śmierci jaką rodzina moja zginęła, sieroctwo moje, przyszłość bez nadziei, bez przytulku stanęły przedemną.

Rzewnie i gorzko nad rodziny i moim losem zapłakałem. Odmówiłem zwykłe nasze ranne pacierze, pobożniej może jak kiedykolwiek, i po małym posiłku, ob-

darzouy kawałkiem chleba, puściłem się w dalszą drogę z myślą dostania się jak najprędzej na drugi brzeg Wisły.

Zapomniałem powiedzieć, że od tego Żyda arendarza do którego w wigilją tej okropnej rzezi na Pradze byłem wysłany, odebrałem dla mojego ojca 50 zł. polskich.

Pieniądze te schowałem starannie około siebie, i tylko w najcięższej potrzebie użyć ich postanowiłem. Rachowałem zawsze bowiem na to, że idąc z miejsca na miejsce, chociaż sam jeszcze niewiedziałem celum ojej drogi, napotkam zawsze współwyznawców, którzy mnie z miłosierdzia nakarmią, i schronienia nieodmówią.

Tak idąc może dwie mile drogi, przyszedłem znowu do wioski nad samą Wisłą położonej. Tam zapłaciwszy kilka groszy chłopu, przeprawiłem się czólnem szczęśliwie na drugi brzeg Wisły.

Z chwilą kiedy z czółna na ląd wyszedłem, zdawało mi się że już jestem bezpieczny, dowiedziałem się bowiem od przewoźnika że Rossjan w tej okolicy niema.

Na tym drugim brzegu była znowu karczma, a w niej jak zwykle żyd areżdarzem.

Wstąpiłem do niej, siadłem pełen troski za stołem, a wkrótce z rozmowy gospodarza którą z żoną prowadził usłyszałem, że mają krewnego w mieście Poznaniu.

Rozmowa ta stanowczy wpływ na całą moją przyszłość wywarła. W jednej bowiem chwili postanowiłem udać się do tego miasta.

Zawiązałem więc bliższą z gospodarzem rozmowę,

Opowiedziałem mu z wszelkiemi szczegółami smutne moje położenie, a w końcu zamiar udania się do Poznania.

Wiadomo panu zapewne jak nasi żydkowie trzymają się za ręce, i chętnie jeden drugiemu w pomoc przychodzi. To też po półdniowym w tej gospodzie pobycie, otrzymałem od gospodarza pismo, polecające mnie jego krewnemu w Poznaniu, jaki taki zapas żywności i tego samego dnia jeszcze w dalszą puściłem się drogę.

Idąc od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, zasilony wszędzie od współwyznawców żywnością i jakiem takiem wsparciem pieniężnym, po dziesięciodniowej blisko wędrówce oszczędziwszy prawie w zupełności cały mój majątek, z owych 50 złp. złożony, przybyłem w połowie Grudnia 1794. do owego Poznania, w którym spokój i sposób do życia dla siebie przez drogę wymarzyłem.

W krótkim czasie odszukałem tego, któremu polecony byłem.

Był to właściciel kramu, zaopatrzonego we wszystkie próbki, wszelkiego gatunku towaru.

Po odczytaniu rekomendacyjnego pisma, bez namysłu i zwłoki przyjął mnie za posługacza sklepowego, dodając w nagrodę żywność bez żadnej zapłaty.

Sądziłem że od razu zostałem pierwszym buchalterem u najpierwszego bankiera, chociaż co prawda, zatrudnienie moje do zamiatania sklepu i dwóch przyległych izb, do palenia w piecach, i noszenia wody na teraz się ograniczało.

Pierwszy raz w życiu byłem w podobnej służbie, ale służyłem mojemu pryncypałowi jak najwierniej.

Osierocony, widziałem w nim drugiego ojca, którego mi sam Bóg na pociechę zesłał.

W krótkim też czasie z zamiatającego sklep, rąbiącego drwa i palącego w piecach, przyszedłem do tego, iż czasami w nagłej potrzebie w dnie targowe pieprz, cukier i kawę mieloną po oznaczonych cenach w sklepie sprzedawałem.

To na pozór mało znaczące zatrudnienie sklepowe, podało mi sposobność rozpatrzenia się bliżej w sposobie sprzedawania, ważenia i mierzenia towarów. I tu muszę powiedzieć, że w ówczas uczułem w sobie chęć i usposobienie do handlu.

Po sześciu miesiącach takiej służby, zacząłem marzyć o lepszym dla siebie losie. Pewnego więc razu po szabasie zaproponowałem mojemu pryncypałowi, czyliby niepozwolił na to, ażebym jako kolporter (to jest taki co towary po ulicy nosi), na swoją rękę zarabiał, z tem zawsze zastrzeżeniem, że z jego sklepu towary na mój zysk i stratę brać będę.

Chętnie przystał na to, i tem chętniej zapewne, że na tej drodze większego odbytu na swój drobiazgowy towar mógł się spodziewać.

Kupiłem więc sobie stosowną z przegródkami i szufladami skrzynkę i z tą, na rzemiennym pasie przed sobą zawieszoną, z szpilkami, igłami, niciami, jedwabiem, tasiemkami, wstążkami, naparstkami, nożykami i nożyczkami, puściłem się na miasto, pełen nadziei zysków.

I prawda, miałem wielkie szczęście; bo byłem za młodu urodziwym chłopcem, nieraz nawet przechodząc słyszałem mówiących jaki to piękny żydek! A chodziłem nie tylko po ulicach ale nawet po wszystkich domach, w których na towar mój biedny kupców spodziewałem się znaleść.

U jednych byłem natrętnym gościem, u drugich pożądanym. Pierwsi zwykle płacili gotówką, drugim trzeba było czasem skredytować.

Wierz mi pan że jak dzisiaj rzeczy rozważam, już w owym czasie było wielkie zepsucie obyczajów.

Mojemu pryncypałowi jednak wypłaciłem się najskrupulatniej za wzięty towar na kredyt. Zysk i zaś, i có prawda nie mały, chowałem i zbierałem starannie.

W przeciągu roku niespełna miałem czystego i gotowego zarobku blisko 130 Talarów, czyli 780 zp.

C. d. n.

NOWE DZIEŁA.

Nowa podróż na około ziemi odbyta na fregacie Armancyi

przez

Dr. Antoniego Zanowicza.

opowiedział Dr. T. Tripplin.

Niezmordowany nasz ziomek obdarzył nas nowym utworem, który do jakiego rzędu policzyć mamy, trudno zawyrokować. Jest li to podróż jak tytuł opiewa, czy dzieło jego bujnej jak wiemy nader wyobraźni. Zdaje się że idąc za zwyczajem fraucuskich pisarzy, z któremi przystawał zapewne, długo w ich kraju mieszkając, nabrał zwyczaju mieszania prawdy z ułudą. Francuzi robią to tak zgrabnie, że trudno przychodzi odgadnąć gdzie się kończy jedna a zaczyna druga. My za nadto do tego jesteśmy dobroduszni i sumienni, i oburzamy się nawet na ten sposób, który darmo francuzi tłumaczą przysłowiem swojem od rzymian jeszcze przyjętem; „l'agreable à l'utile"; nam przecie nie idzie to do głowy, by było dobrem przeplatywać prawdę bajką, bo w końcu trudno rozróżnić, co prawda a co bajką, i łatwo bardzo jedną zamienić za drugą, co nigdy nie jest z korzyścią dla umysłu ludzkiego, już i tak chętnie uciekającego przed rzeczywistością w mgły złudzeń, durzące go jak turków opium. Tą tedy dobrodusznością i sumiennością uwiedzeni, chętnie wierzyć chcemy w podobne u ziomka naszego zalety, i dusznie chcielibyśmy uwierzyć we wszystkie szczegóły tej podróży, jakkolwiek i osoby w niej przytoczone, i zdarzenia oczewiście nadzwyczajne, skoro tylko wytryskują z pióra szanownego Eskulapo - powieściarza, łączą się z innemi osobami i zdarzeniami niemniej dziwnemi, jakie już nam opowiadał w dawniejszych powieściowych utworach swoich jako to: w Pamiętnikach lekarza i w Podróżach.

To pogmatwanie zdarzeń, przeprowadzenie osób tych samych z Europy w najodleglejsze świata krańce, i zawikłanie intryg, to w Szwajcarji, to w Otajti rozpoczętych może być bardzo nawet ładne i w powieści zupełnie na swojem miejscu, ale w opisie podróży dla sumiennego mianowicie czytelnika, sprawia to przykre wrażenie, że czytający, chcący się czegoś przecie nauczyć z podróży po tak dalekich i mniej znanych krajach odbytej, co krok obawia się, widząc jak blisko romans leży obok rzeczywistego życia, aby bajeczki ładnej nie wziął za prawdę, i tej potem przypadkiem komu drugiemu nie udzielił z wielką jego pociechą i urąganiem. Ta ciągła bojaźń mistyfikacji nie tylko że jest przykrą sama przez się, jako uczucie graniczące z uczuciem jakie się ma chodząc z zawiązanemi oczyma, ale prócz tego zniechęca do autora już przez to samo, że uraża miłość własną czytelnika, który zaprawdę ma słuszność za sobą, i może się gniewać na autora drwiącego z niego za jego własne pieniądze.

Niechcemy ubliżać panu Tripplinowi, i wolemy dalsze nasze przemilczając uwagi, przystąpić do treści, w której co do krajów przejechanych znajdują się rzeczywiście ładne, zajmujące i nowe obrazy.

Jedną jeszcze ze szczególności tego utworu o której przemilczeć nie nie możemy, jest to, że są to podróże jakiegoś pana lekarza, Antoniego Zanowicza, z którego tylko opowiadań i notatek p. Tripplin napisał tę całą podróż, Okoliczność ta sama wzbudza już niejaką do książki nieufność, bo czytając podróże chciałoby się czytać podróże opisywane przez tego który sam doznał co opisuje; podróże zaś wszystkie pisane przy własnem biórku, podsycane tylko podróżą do szafki z książkami, muszą być zimniej oddane, i przypominają nieco owe batystowe kwiatki, doskonale naśladowane, ale zawsze z batystu. Wprowadzenie to pana Zanowicza, który z wrażeniami swemi podróżnemi przechodzić musi przez pióro p. Tripplina, robi położenie czytelnika bardzo ambarasującem, bo zdybując się wszędzie ze stylem już dobrze znajomym p. Tripplina, z jego sposobem zapatrywania się, i z jego szczęściem do najrozliczniejszych awantur, których początek, środek lub koniec czytał już w dawniejszych opowiadaniach, sam niewie czy podróże te ma brać na serjo, czy za żarty, jakiemi tak często we Francyi obdarza spekulacja księgarska.

Ten tedy p. Antoni Zanowicz jest Litwin, urodził się pod Wilnem, wychował się w Fryburgu pod opieką księdza Luksa, dawnego kapelana wojsk polskich, a dalekiego krewnego swego. Sposobiono go dla przyczyn nam nieznanych do stanu duchownego, dając wszakże wychowanie wszechstronne. Nie odezwało się wszakże w młodzieńcu powołanie do stanu duchownego, ale natomiast zamiłowanie wielkie do historji naturalnej. Ksiądz Luks zatem zdawał się już godzić z ta myślą, jakkolwiek życzył sobie widzieć krewniaka sługą bożym, i to zwolennikiem Śgo Ignacego Lojoli. W Bolonii mając lat 21 został doktorem filozofii i nauk przyrodzonych, a w Montpellier doktorem medycyny, poczem zabawiwszy czas jakiś w Paryżu osiadł jako lekarz w Szwajcarji w Iverdun nad jeziorem Nefszatelskiem.

Miał on sposobność leczyć i wyleczyć pana Riffat, dawnego oficera królewskiej marynarki francuskiej, co mu posłużyło do uzyskania na żądanie tegoż p. Riffat miejsca okrętowego lekarza, na fregacie Ermancja, wybierającej się w r. 1847 na wyprawę naukowo kupiecką do Brazylii, Kalifornii, Oceanii i Madagaskaru. Wyprawę tę przedsiębrało towarzystwo geograficzne w Marsylii na akcje zebrane w ilości dwóch milionów franków. Tej wyprawy na pół prywatnej, na pół urzędowej, celem głównym było starać się o odzyskanie wpływu handlowego w tamtych świata stronach, utraconego przez nieśmiałe i ustępujące zawsze postępowanie Ludwika Filipa w stosunkach z Anglją, która swemi faktorjami handlowemi i missjonarzami

protestanckiemi pozalewała wszystkie wyspy drugiej półkuli ziemskiej.

Opisawszy nam skład urzędowy fregaty na której znajdują się nawet dwaj komisarze rządowi, przydani dla tego, aby czuwali nad wszelkiemi działaniami pana kapitana Riffat, trącającemi w stosunki polityczne, opowiada nam autor pierwsze ciekawe zdarzenie. Jest nim pojawienie się nagle na pełnem już morzu księdza jakiegoś chudego, żółtego i wysokiego, który się zakradł do fregaty i schował tamże. Ksiądz ten chce gwałtem dzielić koleje tej wyprawy, przemawiając do pana Riffat, w imie obowiązku chrześciańskiego, jaki on ma dla swej załogi okrętowej, by ta bez pomocy religijnej nie była. Przyczem zagadkowy ten i zapalczywy ksiądz zwracał najwięcej na p. Zanowicza świdrujące swe oczy, i to nie bez przyczyny, jak to dalej zobaczemy. Pan Riffat nie chce go przyjąć tem się zastawiając, że dla tego kapłana nawet okrętowego brać mie chcieli, aby nie wzbudzać podejrzeń angielskich, zazdrośnych o swoje własne missje, służące im za środek handlowy. A zatem ksiądz Wincenty Lepin ma być wysadzony w Gibraltarze na ląd. Przez ten czas mieszka w w kajucie pana Zanowicza, który jest nadzwyczaj religijny, i stara się uzyskać wpływ nad majtkami i załogą całą, do do której przemawia z namaszczeniem. Majtkowie mimo życia swego szorstkiego i hazardownego są nadzwyczaj wrażliwi. Wnet też polubili księdza, jego kazania i błogosławieństwa. W rozmowie z nim Zanowicz z niemałem zadziwieniem odkrywa że znane mu są wszystkie jego życia szczegóły. Już są koło Gibraltaru, gdy mu ksiądz oddaje list od księdza Luchsa, wymagającego dosyć kategorycznie, aby Zanowicz koniecznie (powołując się na złożoną przysięgę) zostawił go przy sobie w interesie kościoła.

— Teraz dopiero pojąłem wszystko, odzywa się Zanowicz, byłem członkiem potężnego bractwa niewiedząc o tem, i pełnić musiałem mimowolnie jego żelazną wolę.

I rzecz dziwna, kapitan choć widocznie nie lubił księdza Wincentego, dowiedziawszy się o co rzecz idzie zatrzymał go na fregącie. Może także obawiał się gniewu potężnego bractwa.

Otóż mamy i zawiązanie intrygi, godne konceptu i pióra autora wiecznego żyda, mamy intrygę zużytą z ktorej mają się w czasie podróży by jadących nie nudziła, wykluć rozmaite zawiklania. Są już na wyspach Madery, gdzie Zanowicz zdybuje ową piękną portugalkę, uzdrowioną szczególnym dość cudem na statku duńskim jak nam opowiedział już p. Tripplin w pamiętnikach polskiego lekarza.

Pomiędzy innemi jest na fregacie młody chorąży okrętowy p. Alfons Delaize, syn jednego z komisarzy rządowych. Jest to jeden z tych wulkanicznych, wyjątkowych ludzi do jakich nas przyzwyczaiło powieściarstwo francuzkie. Pracowity i chciwy wiedzy, ale przesadnie dumny i ognisty pałał on od małego dziecka gorączkową żądzą romantycznych i bohatyrskich awantur. Był dawniej midsipmanem w rządowej marynarce, z kąd go wypędził pojedynek, w którym zabił jednego z swych zwierzchników. Chroni się przed surowością prawą do Korsyki, zkąd jest rodem, i tam w górach zbiera w koło siebie przyjaciół i znajomych rodzinnych i z niemi stawia się tak groźno, że rząd francuski bojąc się złego przykładu w tej tak bundziucznej Korsyce, ułaskawia go. Prócz kapitana Riffat jest na fregacie pierwszym porucznikiem *Surcout*, stary wiarus morski, i drugi porucznik *Mulfilabre*, srogi służbista, wielki hipokondryk i mizantrop. Alfons wyćwiczony nadzwyczaj we wszystkich tajemnicach i wiadomościach żeglarskich jest ulubieńcem wszystkich majtków i zaprzyjaźnia się z lekarzem któremu nawet pomaga, oraz z księdzem Wincentym do spisywania i przepisywania pamiętników podróży.

Przebywają ekwator ze wszystkiemi znanemi już ceremonijami komiczno-tragicznego chrztu nowicjuszów, które autor pobieżnie tylko opisuje.

Jednostajność podróży przerywa Alfons, wyzywający Mulfilatra z którym się nie cierpią, na pojedynek, za co sądem ojcowskim skazany został na tydzień aresztu.

Są już nareszcie w pysznej przystani Rio-Janejro. Tu podróżnik daje nąm opis tego miasta, jak stary Rzym na siedmiu pagórkach dumnie rozłożonego, z mnóstwem kościołów nadzwyczaj bogatych i strojnych. Opisy te wszystkie są dosyć pobieżne, przez co jeszcze nam więcej przypominają równie przelotne opisanie podróży samego pana Tripplina. Zanowicz rozmawia z cesarzem Brazylii, który mu się bardzo podoba. W Petropolis, rodzaju Wersalu Brazylskiego, gdzie cesarz umieścił przeszło 6000 kolonistów Europejskich rozmaitej narodowości i różnych wyznań, żyjących z sobą w zgodzie, znajduje się też jeden polak, trudniący się bartnictwem. On pierwszy w kraju w którym rzeki płyną miodem i mlekiem, pozakładał ule, sprowadził dzikie roje z lasów, i kolonistów przyzwyczaił do pasiek. A co najważniejsza on pierwszy nadał pszczołom większy wzrost i potężniejszą siłę przez sztuczne rozprzestrzenianie komórek w których się rodzą. Pszczoły tym sposobem wyrosłe budują już same z siebie komórki obszerniejsze. Bartnikiem tym jest Szymon Okrasa, stary wachmistrz.

C. d. n.

Rozmaitość.

* O marszłku Pelissier opowiadają następujące zdarzenie. Przed rokiem gdy był jeszcze jenerałem w Algerji podczas przeglądu wojska gniewał się mocno na jednego podoficera od konnicy, iż ubiór jego niebył w należytym porządku. Prędki i namiętny z natury, najpierw skarcił go dosyć ostremi słowy, a uniesiony gniewem tak dalece się zapomniał, iż szpicrutem uderzył podoficera po twarzy. W tej samej chwili uderzony dobywa z olstry pistoletu, odciąga kurek i pali w jenerała. Lecz kapzla zawiodła go. Pelissier

ani oka nie zmrużył, jeno nagle spokojną przybrawszy postawę krzyknie: »Chłopcze na trzy dni pójdziesz do aresztu za złe utrzymywanie swej broni!»

*** Dumasa drzewo genealogiczne.** Jeden z dumnej rodem szlachty kazał się wprowadzić do Dumasa; chcąc go upokorzyć pyta go:

— Pan jesteś Quadroon?

— Tak jest, mój ojciec był mulatem.

— Więc istotnie pański ojciec był mulatem? — A więc pański dziad....

— Był murzyn; rozumie się mój panie, murzynem był.

— A pradziad pański?....

— Rodził się z małpy mój panie. Moje drzewo genealogiczne tam się poczyna, gdzie pańskie się kończy.

Przyjechali od dnia 29. do 30. Października do Lwowa.

JEx. hr. Lewicki Kajetan, z Czortkowa. PP. Giziński Alex., z Rozdołu. Papara Henryk, z Zubowmostów. Polanowski Felix, z Bojańca. Bobowski Konstanty, z Humnisk. Studziński Adof, z Czernichowa. Studziński Jan, z Łoposzyna. Czajkowski Hipolit, z Sarnek. Miączyński Jan, z Suchodołow. Augustynowicz Bolesław z Kniażia.

Wyjechali od dnia 29. do 30. Października ze Lwowa.

PP. Ryp, do Stryja. Zawadzki Józef do Rossyi. Panczarski Jędrzej, do Proszowiec. Obniski Wiktor, do Gajów. Eckerkraus, do Krakowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 30. b. m. o g. 2. popołud

Augsburg za 100 złr. .	113¾	Pożyczka 5%	75 1/16
Hamburg za 100 tal. banco	82½	Akcye banku	1001
Londyn za 1 funt szterl.,	11 7	Kolej północna	2057½
Medyolan za 300 lirów	112½	Obl. ind.	68
Paryż za 300 franków .	132⅛	Nowa pożyczka z loterya	98⅛
Agio duk. ces.	18⅞	Pożyczka narodowa . .	78⅞

Wczorajszy Kurs Lwowski

		Gotówką				towarem.		
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	14	złr.	5	kr	17
Dukat cesarski	«	5	»	17	»	5	»	20
Półimperyał zł. rosyjski	«	9	«	—	»	9	»	4
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	44	«	1	»	45
Talar pruski	»	1	«	40	»	1	«	42
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	14	»	1	»	15
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	90	«	—		90	»	30
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		66	»	20	»	66	«	54
5 proc. pożyczka narodowa		78	»	30	»	79	»	30

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**